**Czerwona Szkoła**

Zegar wskazywał dopiero godzinę 7.10, kiedy pani Krysia weszła do budynku. Spóźniła się. Powinna być w pracy już dobry kwadrans temu. Lecz dziś jak na złość korek na ulicy Jaworzyńskiej był większy niż zazwyczaj. Weszła frontowymi drzwiami, mijając pustą jeszcze o tej porze portiernię i to właśnie do niej skierowała swe kroki. Była wściekła. Wściekła na samą siebie, że się spóźniła, ale jeszcze bardziej na tego bałwana, przez którego właśnie się spóźniła. Wiedziała, że dziś najmniejsza rzecz będzie w stanie wyprowadzić ją z równowagi. Rzuciwszy szarą, ortalionową kurtkę na fotel, ruszyła w stronę kantorka. Irytowało ją to, jak jej stare, wychodzone pantofle skrzypią niemiłosiernie z każdym krokiem stawianym na kafelkowej posadzce. Ledwo otworzyła drzwi, kiedy dostała pierwszy cios. Był gwałtowny i nieprzyjemny, mimo że przez te dziesięć lat pracy jako sprzątaczka powinna się przyzwyczaić do zapachu chemikaliów, którymi dzień w dzień myła podłogę. Nie przyzwyczaiła się. Czuła, jak mocny zapach środków czystości drażni i wysusza jej nos, który i tak był już wystarczająco czerwony i suchy od alergii. To też ją irytowało. Nienawidziła wiosny przez wszechobecne w powietrzu pyłki. Wzięła czerwone wiaderko w dłonie, po czym skierowała się do najbliższej łazienki. Nie chciała słyszeć ani chwili dłużej skrzypiących butów, skracała więc jak najbardziej dystans. Trafiło na męską toaletę. Odkręciła kran, a brunatno – żółty strumień wody począł powoli zakrywać czerwone dno wiaderka. Po paru sekundach lekka i nierównomierna strużka brudnej wody zmieniła się w rwący niczym górski potok, strumień. Musiała zmniejszyć moc kranu, gdyż lodowate krople wody poczęły odbijać się od tafli trafiając ją w dłonie i zostawiając mokre plamy na koszulce. Patrzyła w pustą ścianę, zastanawiając się, dlaczego właściwie w męskich toaletach nie ma luster. Jakież to wydało jej się bez sensu. Czyżby mężczyźni w tej szkole nie mieli już prawa przejrzeć się w łazience? Poprawić sobie fryzurę? Przez dziesięć lat jej pracy nikt nawet nie zainteresował się tym problemem. Gapiła więc się pusto w, tak samo jak posadzka, kafelkową, popękaną tu i ówdzie ścianę. Drugi tego poranka cios był jeszcze bardziej gwałtowny i niespodziewany niż pierwszy. Zimny strumień wody wylał jej się prosto pod nogi, zalewając nie tylko podłogę i buty, ale też spodnie do połowy łydki. Zaklęła pod nosem. Jeszcze bardziej znienawidziła ten parszywy poniedziałek. Zakręciła kran i odlawszy trochę wody z wiadra, żeby się już więcej nie wylało na podłogę, odłożyła je przy drzwiach do łazienki. Buty skrzypiały jeszcze bardziej, a przelewająca się wewnątrz nich woda, z każdą sekundą przybliżała panią Krysię do szewskiej pasji. Wzięła pierwszą lepszą szmatę z kantorka, po czym szybko powróciła do łazienki. Zarzuciła ją na pochwyconą w biegu miotłę i zaczęła szybko i metodycznie wycierać kałuże. Nie chciała klękać. Po pierwsze kręgosłup jej już na to nie pozwalał ani bolące stawy, po drugie zaś nie chciała mieć jeszcze prócz łydek, mokrych kolan. Co jakiś czas tylko podnosiła miotłę na wysokość umywalki, żeby wycisnąć ociekającą z wody szmatę. Gdy po kilku minutach skończyła wreszcie naprawiać własne błędy, jej kroki po raz nie wiadomo już który skierowały się do kantorka. Wzięła drugą, suchą szmatę i rozłożywszy sobie składane krzesełko, które stało zakurzone w rogu pomieszczenia jeszcze od września, poczęła wycierać mokre buty. Następnie je zdjęła wraz ze skarpetami, aby w odpowiedni sposób osuszyć również własne stopy. Skarpetki niestety wciąż pozostawały lekko wilgotne. Będzie musiała teraz użerać się z nimi do 15.00. Miała już serdecznie dość tego okropnego poniedziałku, lecz najgorsze miało dopiero nadejść. W tym momencie jeszcze nie wiedziała, że za niespełna 10 minut wydarzy się coś, co zostawi głęboką i trudną do zagojenia bliznę na jej psychice. A przecież sądziła, że po przeżyciu komuny i stanu wojennego nic ją już w życiu nie zaskoczy. Myliła się. Po odsapnięciu chwilę i zebraniu myśli w, jako taką, kupę pani Krystyna powróciła do miejsca, gdzie pozostawiła wiadro z wodą. Chwyciła jeszcze pod pachę niemiecki płyn do mycia podłóg marki Glimmerstone. Na szczęście na dnie ciężkiej, pięciolitrowej butli zostało zaledwie odrobina, na tyle duża, aby móc umyć posadzkę przy szafkach, lecz też na tyle mała, że butla dawała się nieść jak piórko, co było ukojeniem dla pleców pani Krysi. Wlała całą zawartość butelki do wiadra i wymieszała wszystko dokładnie. Chwyciła wiadro w lewą, zaś miotłę z zarzuconą nań szmatę w prawą dłoń i przerzuciwszy swój oręż przez ramię, dumna jak paw ruszyła w dół schodami prosto do szatni. Znowu poczuła, jak coś drażni jej nos. Dziwny fetor, mimo iż słodki, przyprawiał o mdłości. Pani Krysi lekko zakręciło się w głowie. Szybko jednak się otrząsnęła z tego stanu, mroczki sprzed jej oczy zniknęły całkowicie, jakby były tylko przywidzeniem. Zapach jednak nie. On był prawdziwy, realny niemal namacalny i na tyle intensywny, że wrażliwy nos pani Krystyny nie mógł wytrzymać tego dłużej. Zatkała więc go, chwytając dwoma palcami za jego płatki. Szybko jednak zauważyła głupotę swojego działania . Nie można zlokalizować przecież źródła zapachu, pozbawiając się węchu. Poczęła więc niczym rasowy chart wywąchiwać ,,zwierzyny”. Wyimaginowanego zająca skrytego gdzieś pod postacią mieszaniny związków chemicznych, które odgrywały rolę bodźców, pobudzając nos do wytworzenia sobie wrażenia zapachu. Ona zaś, niczym najlepszy myśliwy, przechodziła wzdłuż wszystkich szafek, obwąchując każdą dokładnie. Na rezultat nie musiała długo czekać. Nie przeszła nawet wzdłuż setki z nich, gdy poczuła, z której wydobywa się, ów słodki i nieprzyjemny odór. Szafka numer 68. Dosyć spora jak na szkolne standardy. Standardy zwykłego liceum. W rzeczywistości bowiem była to jedna z tych szafek, w których klasy plastyczne trzymały sztalugi, płótna i prace. Musiała więc być wystarczająco obszerna, żeby móc to wszystko w sobie pomieścić. Pani Krysia czym prędzej wybiegła z szatni, potrącając na schodach jakiegoś przypadkowego ucznia. Jednego z tych, który dojeżdżał spoza miasta jedynym autobusem gdzieś koło 5.30 i który siłą rzeczy musiał znaleźć się w szkole tego feralnego poranka tak wcześnie. Bez pukania wprosiła się do pomieszczenia gospodarczego przeznaczonego dla konserwatora i nawet nie witając się z nim, porwała czym prędzej kluczyk opatrzony wygrawerowanym numerkiem 68. Pan konserwator zdezorientowany całym zajściem, gdy tylko się ocknął z letargu, żwawym krokiem ruszył za panią Krysią. Kobieta wsunęła klucz w zamek, przekręciła i energicznie wręcz z impetem otwarła drzwiczki szafki, a jej zawartość aż zmroziła jej krew w żyłach i zjeżyła każdy najmniejszy włosek na jej siwiejącej głowie. Z szafki na podłogę wyciekła lepka, czerwono-brunatna maź, przypominająca konsystencją coś w rodzaju zbyt rozwodnionego kisielu lub już lekko stężałej galaretki. Wraz z cieczą na posadzkę upadła odcięta dłoń. Reszta zaszlachtowanego ciała trzymała się ciasno między trzema ścianami szafki. Rozczłonkowane, upchane w nieładzie zwłoki młodego mężczyzny w szafce, która należała do któregoś z plastuchów, mimo groteskowego wyglądu sprawiało wrażenie czegoś w rodzaju instalacji artystycznej. Ale nie była to instalacja artystyczna. Młodzieniec rozrąbany na co najmniej 10 idealnie pasujących do siebie kawałków mięsa, flaków i kości okraszonych nutką krwistej polewy, tworzący razem makabryczną mozaikę, był prawdziwy. Tak samo prawdziwy jak i ona.

\*\*\*

Uwielbiał piątki. W sumie jak każdy. Ale nie ten. Ten piątek zapowiadał się parszywie. Miał bowiem zostać po lekcjach, żeby zaliczyć sprawdzian z geografii. Boże, jak on nienawidził tego przedmiotu. Nie żeby był on jakoś przesadnie trudny, po prostu wchodził mu do głowy tak ciężko, jak ciężko płaskoziemcy jest wmówić, iż planeta po której stąpa jest w rzeczywistości globem, a nie płaskim naleśnikiem lewitującym gdzieś w nicości kosmosu. Irytował go ten dzień już od samego poranka, nie potrafił cieszyć się końcem tygodnia i nadchodzącym słonecznym weekendem. ,,Jeszcze tylko siedem lekcji” mówił sobie w duchu. Tak blisko, a jednak tak daleko.

\*\*\*

Zaparkował swojego granatowego peugeota tam gdzie zwykle. Wyszedł z auta, mocno trzaskając drzwiami. Nie był zły. Po prostu leciwy samochód miał już swoje problemy, o których tylko on wiedział, jak na przykład wiecznie niedomykające się drzwi od strony kierowcy. Musiał więc nimi trzasnąć. Stanął na chwilę na środku parkingu i gapił się w milczeniu na ogromny gmach V liceum. Przypominający z lotu ptaka literkę ,,E” budynek liczył sobie już przeszło 100 lat, oczywiście początkowo pełniąc zupełnie inną funkcję niż bycie szkołą średnią. Nauczyciel stał tak może maksymalnie pół minuty, wygładził dwoma palcami siwego wąsa, po czym skierował swoje kroki ku pokojowi nauczycielskiemu. Miał do pracy dopiero na trzecią lekcje, więc na dziedzińcu przed szkołą roiło się od uczniów, była przerwa. Na ławce przed szkołą obściskiwała się para uczniów. Całowali się namiętnie. Przeszły go dreszcze, gdy ich ujrzał. ,,Bezwstydnicy!” – pomyślał - ,,Żeby w miejscu publicznym, żeby tak przy tylu ludziach ze szkoły aż tak bardzo się migdalić”. Za czasów jego młodości byłoby to nie do pomyślenia. Ach, młodość, kiedy to było. Tak niedawno, a jednak dość dawno, żeby wszystkie normy i zasady, które uważano za moralne w tamtych czasach, zmieniły się o 180 stopni. Ale czy tak właśnie nie jest bez względu na pokolenie? Oni też kiedyś będą w jego wieku, też wtedy przestaną rozumieć nastolatków. Na tych rozmyślaniach minęła mu cała droga do pokoju nauczycielskiego. Przed wejściem odkaził sobie jeszcze dłonie. W teorii pandemia już się skończyła, ale on był wyczulony na tym punkcie. W tym wieku musiał bardziej dbać o swoje zdrowie, żeby jakoś dociągnąć do emerytury. W końcu wszedł do środka. W powietrzu unosiła się gorzka i intensywna woń kawy. Aromatyczny zapach łagodnie muskał jego nozdrza. Żadna tam rozpuszczalna, to była woń mielonej kawy, po aromacie i intensywności zgadywał, że wypalana w Brazylii. Nie mylił się. Czajnik stał wypełniony do 1/3 letnią już wodą, włączył go tylko, po czym nasypał sobie dwie czubate łyżeczki kawy do swojego ulubionego kubka w biało-niebieskie paski, kotwicą i wielkim napisem na środku: ,,Międzyzdroje”. Czajnik głośno szumiał, ale on go nie słyszał. Skupił się na rozmyślaniu, z jakiej części Brazylii może pochodzić czarny napar, który zaraz w siebie wleje. Po kolorze ziaren, można by było uznać, że plantacja znajduje się w regionie Pará na północy kraju, zaraz przy granicy z Gujaną i Surinamem. Zapach zaś dawał zupełnie odmienne spostrzeżenia. Przypominał aromat kawy zbieranej i wypalanej w São Paulo na południowym-wschodzie Brazylii. Skończyło się więc na tym, że nie mógł stwierdzić ze stu procentową pewnością, skąd owa kawa pochodzi. Ale skąd wiedział tyle na temat kawy czy regionów w Brazylii? To proste, był nauczycielem geografii. Zalał kubek po brzegi wrzątkiem, po czym wziął małego łyczka. Najbardziej lubił właśnie taką kawę, czarną jak smoła i gorzką bez mleka czy cukru. Spojrzał na plan i zaklął pod nosem. Pierwsza jego lekcja tego dnia było to zastępstwo z 2D. Gorzej się ten piątek nie mógł zapowiadać.

\*\*\*

Siedział samotnie. Nie dlatego, że był typem samotnika czy nie posiadał przyjaciół, po prostu czekał na kogoś. Na ławce obok obściskiwała się jakaś para. Znał ich, on był z klasy plastycznej, ona z biol-chema. Drugoklasiści, tak jak i on. Tylko że on nie miał dziewczyny. Było dość ciepło, podwinął więc rękawy swojej flanelowej koszuli w zielono-czarną kratę i odruchowo chwycił za głowę, żeby sprawdzić czy upięte w kok włosy wciąż się trzymają i czy aby na pewno są na swoim miejscu. Doskonale znał odpowiedź na te pytania, a mimo to sprawdzał to kilka razy dziennie. Nerwica natręctw, a może obawa przed tym, aby przypadkiem źle nie wyglądać przez chociażby jeden wystający włos, tego nie wiedział. Wtedy go zobaczył. Mężczyzna w starszym wieku, trochę niższy od niego, zawsze z idealnie przyciętym siwym wąsem, ubrany w pasiastą koszulę i z torbą pod pachą. Chłopak zmierzył go wzrokiem, ale ten nawet na niego nie spojrzał, zbyt pochłonięty był lustrowaniem parki ławkę obok. Chłopak widział, jak nauczyciel świdruje ich nienawistnym spojrzeniem. Takim, które potrafi przebić się przez warstwę ubrań i skóry, aby finalnie przeniknąć ludzką duszę na wskroś. Mężczyzna minął go, młodzieniec, zaś wodził jeszcze przez chwilę za nim wzrokiem, póki nie zniknął na winklem. Właśnie u niego będzie musiał zdawać dziś geografię. Siedział tak jeszcze sam przez dobre 2 minuty, ale znudzony czekaniem na swoich przyjaciół poszedł pod salę, w której zaraz miał mieć matematykę. Lekcja dłużyła się niemalże w nieskończoność. Przez 45 minut zdążył co najmniej dwa razy obślinić swój zeszyt, zasypiając na ławce. Jedynie szturchania kolegi obok powstrzymywały go przed chrapaniem. Matematyki nienawidził równie mocno jak geografii, tylko że w przeciwieństwie do tej drugiej, tutaj dostawał chociaż dwójki i nie musiał bawić się w latanie za nauczycielem, żeby coś poprawić. Zmęczenie przerodziło się wybuch energii. Chciał wybiec z klasy i na długiej przerwie pognać co sił w nogach do pobliskiej „Żabki” po kanapki. Nie mógł już dłużej wytrzymać zamknięty w czterech ścianach. Dusiło go to. Dusił go brak poczucia wolności. Czuł, że ściany i sufit powoli na niego napierają, chcą go zgnieść, zmiażdżyć i rozdeptać jak robaka. Pragnął się wyrwać, lecz nie mógł , trzymały go niewidzialne łańcuchy oświaty. Nie ucieknie stąd. Zginie przygnieciony przez zwały XIX - wiecznego, pruskiego systemu nauczania, który to wymyślił lekcje trwające 45 minut. Ten przestarzały system chwiał się teraz niczym kolos na glinianych nogach, lada moment mogąc runąć z pełnym impetem na biednego nastolatka. Od śmierci uratował go dzwonek na przerwę. Reszta dnia minęła we względnym spokoju. Nic szczególnego się nie działo. Można by nawet powiedzieć, że ten piątek był zbyt spokojny, do czasu.

\*\*\*

Na siódmej lekcji miał mieć okienko. Lecz zamiast spędzić je na odpoczynku, sprawdzaniu uczniowskich prac czy wpisywaniu jedynek, co sprawiało mu niewyobrażalną przyjemność, zgodził się na poprawę sprawdzianu. Teraz musiał siedzieć z nim sam na sam przez bite 45 minut. Przynajmniej będzie mógł stać nad nim, przysparzając go o jeszcze większy stres. Otworzył dyskretnie szufladę mimo iż znajdował się zupełnie sam w klasie, uczynił to z niebywałą ostrożnością i obawą, jakby miał być za moment przez kogoś przyłapany na czynności, którą właśnie wykonywał. Narzędzie było na swoim miejscu. Wszystko zgodnie z planem. Zasunął szufladę i w tym samym momencie do pomieszczenia wszedł chłopak. Oczy mężczyzny za biurkiem błysnęły wściekłością i pogardą dla wchodzącego.

\*\*\*

Miał nadzieję, jakże złudną, że sprawdzian będzie mógł pisać na telefonie. Niestety, jemu przypadł ten przywilej pisania go na papierze. Profesor wręczył mu kartkę z cynicznym uśmieszkiem, chłopak chciał powiedzieć coś o globalnym ociepleniu i marnowaniu papieru na jeden marny sprawdzian. Na szczęście w porę ugryzł się w język. Wdawanie się w dysputy z nauczycielem, a w dodatku nauczycielem geografii, który wiedzę o ekologii ma zapewne w małym paluszku, byłoby głupotą. Zwłaszcza, że od owego nauczyciela zależało jego być albo nie być, tym bardziej więc strzelanie sobie w kolano było okropnym pomysłem. Obdarzył więc nauczyciela takim samym cynicznym uśmiechem. Przez pół godziny jedynymi dźwiękami, które odbijały się echem po białych ścianach pomieszczenia, było tykanie zegara, zawieszonego nad drzwiami wejściowymi, w akompaniamencie szurającego po papierze długopisu. Wraz ze stopniowo mijającymi minutami, kartka wypełniała się coraz bardziej czarnym tuszem. Skończył w końcu, przed upływem końca lekcji. Tym razem dzwonek nie był jego zbawieniem. Musiał jeszcze przez kwadrans grzecznie siedzieć, wpatrując się w nicości. Zawsze mu to wychodziło. Umiał się wyłączyć, nie słysząc i nie widząc niczego mimo patrzenia przed siebie. Gapił się tak w przestrzeń ze straszliwą pustką, z głębią w nich tak ogromną, iż każdy, kto by w tym momencie popatrzył mu w oczy, poczułby, że nagle spada. Oczy te potrafiły pochłonąć człowieka niczym czarna dziura, wielkie i brązowe ślepia przyprawiały o nagłe uczucie chłodu i dyskomfort na tyle duży, że już nigdy nikt więcej nie chciałby w nie patrzeć. Miał katar. Wyjął paczkę chusteczek z kieszeni, po czym wydmuchał nos. Według napisu na opakowaniu powinny pachnieć miętą. Nie czuł tego. Wstał, żeby wyrzucić chusteczkę do kosza, wolał bowiem rozprostować nogi, niż siedzieć na tych niewygodnych i małych szkolnych krzesełkach, których nikt o zdrowych zmysłach nie kupiłby sam sobie do mieszkania. Czemu więc uważano, że uczniowie chcą na nich siedzieć dzień w dzień po 45 min siedem lub osiem razy dziennie? Nie zdążył dojść do śmietnika, zwalił go na ziemię pierwszy cios siekierą między łopatki.

\*\*\*

Policja wyprosiła wszystkich ze szkoły i zabezpieczyła szatnię taśmą, nie pozwalając nikomu przekroczyć tej stworzonej naprędze granicy. Młody aspirant spisywał właśnie zeznania pani Krysi, kiedy na miejscu zbrodni zjawił się technik kryminalny. Bez słowa podniósł do góry dopiero co rozciągniętą taśmę, założył lateksowe rękawiczki i podszedł do szafki. Przez chwilę przyglądał się ciału , a raczej temu, co po nim pozostało, bo ciałem ciężko było to nazwać. Kilkanaście odrąbanych członków zbitych w nieładzie i upchniętych między ciasne ścianki szafki. Bardziej przypominało to resztki podgniłego już mięsa, wyrzucone gdzieś na śmietnik, gdzie nawet wychudłe, bezpańskie koty nie chciałyby ich tknąć, niż człowieka. Kryminalny obudził się nagle z letargu i począł węszyć wokół siebie. Przyłożył swój policzek do sąsiadującej szafki o numerze 69. Zimny metal całował go teraz namiętnie, zostawiając po sobie dość sporych rozmiarów czerwonawy odcisk, ten jednak tkwił w bezruchu nie okazując żadnych emocji, tylko metodycznie poruszając płatkami nosa. Zerwał się nagle jak oparzony, jakby pocałunki szafki były mu jednak nie w smak lub wręcz go obrzydzały i odpychały od niej. Podszedł szybkim i energicznym krokiem do pani Krysi, po czym ku wielkiemu jej zdziwienie rozkazał przynieść sobie kluczyk do szafki o numerze 69. Lekko zdezorientowana i wciąż zszokowana po porannym incydencie sprzątaczka musiała chwilkę się zastanowić, o co tak właściwie prosi ją mężczyzna. Odwróciła się i przy pomocy kilku szybkich susów znalazła się na szczycie schodów. Niespełna 2 minuty później wróciła z kluczami i drżącą ręką podała je kryminalnemu. Ten powoli włożył klucz w zamek i przekręcił. Trwało to ułamek sekundy, lecz dla pani Krysi minęło co najmniej kilka godzin. Tyle myśli, tyle spraw zdążyło przebiec jej przez głowę, niemalże całe 55 letnie życie śmignęło jej w jednej chwili przed oczami. Mężczyzna otworzył drzwiczki. Na posadzkę upadła siwa głowa okraszona pod nosem, równie siwym, przyciętym idealnie wąsem.

Jakub Kordek